



Wychodzi we
Lwowie z końcem
każdego miesiąca
Wkładka roczna
z prenumeratą
wynosi 1 zł. 20 ct.
Dla nauczycieli
pow. i uczniów
tylko 70 cent.
z przesyłką 82 ct.

MIESIĘCZNIK

galicyjskiego

TOWARZYSTWA OCHRONY ZWIERZĄT.

Administracya
i ekspedycya
we Lwowie
ulica Teatynska
liczba 23,
dokąd też wszy-
stkie przesyłki,
wkładki i prenu-
meraty adreso-
wać należy.

REDAKTOR: FELIKS LEWANDOWSKI.

Na jesieni.

Urywek z dziennika myśliwca.

Przymrozki rozpoczęły się wcześniej w tym roku i powietrze było już bardzo ostre, gdy się udał jak zwykle późną jesienią na polowanie do mego kuzyna, Karola de Rauville, mieszkającego stale na wsi.

Zamek jego położony w głębi doliny, przetrniętej srebrzystą wstęgą rzeki, osaczały z wszystkich stron przepyszne, odwieczne lasy, w których o tej porze roku można było napotkać najrzadsze i najcenniejsze gatunki wędrownych ptaków, odlatujących do ciepłych krajów. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, nie brak tam było nawet ptactwa wodnego, gdyż u stóp lasu ciągnęły się rozległe błota, które kuzyn mój nazywał najcenniejszą perłą swojej korony i pielęgnował troskliwiej niż piękny park zamkowy.

Woda ma dla mnie niewypowiedziany urok, pociąga mię ku sobie nieprzepartą, tajemniczą siłą. Uwielbiam wspaniałe morze, chociaż jest zbyt wielkie, burzliwe, hałaśliwe, by można było marzyć o zapanowaniu nad niem; lubię wesołe, szczebiotliwe rzeki, mknące naprzód z szybkością spłoszonej gazeli, ale podobają mi się najbardziej poważne, ciche wody stojące, w których drgają tysiące istnień drobnych żyjątek. Na czem polega dziwny czar tych smętnych dolin wodnych, jęczących cichym szmerem

trzein? Czy na błędnych ognikach, które zapalają się nad niemi i gasną? Czy na uroczystej ciszy, otaczającej je podczas pogodnych nocy letnich? Czy może na mgłach, których dziwaczne kształty czepiają się trzein, jak powiewne szaty umarłych?

Nie. Pociągają one ku sobie głębszą, ważniejszą tajemnicą: tajemnicą stworzenia, bo czyż pierwsze objawy organicznego życia nie drgnęły w łonie stojących, błotnistych wód, ogrzanych życiodajnem ciepłem słońca?

* * *

O trzeciej z rana byliśmy już na nogach i ubrani w kurtki myśliwskie, spieszyliśmy na stanowisko.

Była to jedna z tych zimnych nocy jesiennych, tak rzadkich w naszym klimacie, gdy ziemia wydaje się odrętwiałą z chłodu. Błady, wąski sierp księżyca wyglądał również jak omdłały wśród przestworów nieba i zdawał się nie mieć siły do dalszej wędrówki. Z rękami w kieszeniach, ze strzelbą przewieszoną przez ramię, postępowaliśmy obok siebie w milczeniu, gdy nagle daleki, niewyraźny, przygłuszony krzyk przeleciał po nad naszymi głowami: ptaki zaczynały się budzić.

Nie znam nic bardziej wzruszającego nad taki pierwszy dźwięk życia, przeszywający ciemne jeszcze powietrze jesiennych doświtków. Niewyraźny okrzyk, niknący w oddali niby na skrzydłach przelatującego ptaka, wydaje mi się westchnieniem ducha ziemi!

Tymczasem gwiazdy zaczynały błednać, niebo na wschodzie różowiło się promieniami jutrenki i stada dzikich kaczek wbiły się w powietrze.

Wesołe odgłosy naszych strzałów rozlegały się co chwila prawie, a psy uwijały się żwawo, przynosząc nam okrwawioną zdobycz, której szkliste oczy zdawały się niekiedy spoglądać z wyrzutem na bezlitośnego mordercę.

Dzień już był słoneczny i jasny, gdyśmy zawrócili do domu, aż nagle ukazały się nad naszymi głowami dwa ptaki, lecące z wyciągniętą szyją i szeroko rozpostartymi skrzydłami. Strzeliłem. Jeden z nich upadł mi do nóg prawie. Jednocześnie rozległ się przerażający, żałosny pisk towarzysza, krążącego z błyskawiczną szybkością nad ciałem zabitego ptaka.

Karol wziął go na cel i oczekiwał z gorączkową niecierpliwością, aż nadleci bliżej.

— Zastrzelileś samicę — rzekł — a więc i samiec nam nie ujdzie.

Nie myślał nawet uchodzić, krążąc wciąż nad nami z żałosnym płaczem. Nigdy jęk cierpienia nie wzruszył mię do tego stopnia, co ten krzyk krótki, urywany, rozpaczliwy.

— Połóż ją na ziemi — rzekł Karol — a zobaczysz, że przyleci bliżej jeszcze.

Przyleciał rzeczywiście, nie pomnąc na niebezpieczeństwo, oślepiiony miłością dla martwej towarzyszki. Strzał się rozległ i wierny ptak padł trzepocąc skrzydłami.

Wrzuciłem oboje do torby myśliwskiej, i tegoż dnia wróciłem do Paryża.

Guy de Maupassant.

Obrázky z życia zwierząt.

Poufałość pliszki. Każdemu wiadomo, że pliszka lubi miesca nad wodą i do ludzi ma wielką poufałość. Często ściele swe gniazdo pod szopami i w stodółach, a najmilej w młynach. O takiej jednak poufałości, o jakiej opowiedzieć chcemy, pewnie nikt nie słyszał.

W sąsiedztwie mojem stoi młyn, u którego przed oknem umieszczono deski na doniczki z kwiatami. Zeszłej wiosny (87) poczęła tam pliszka na kaktusie słać sobie gniazdo, a chociaż młynarka często okno otwierała, aby do swoich kwiatów zaglądnąć, pliszkę to wcale nie żenowało, lecz uścieliwszy sobie gniazdo, zniosła jedno jajeczko po drugim i wysiedziała spokojnie czworo młodych. Młynarzom sprawiało to wielką przyjemność, dla tego też ochraniaли troskliwie miłą ptaszynę. Nie przeszkadzało jej to wcale, że kwiaty często podlewano, a nawet była o tyle poufała, że siedząc na gniazdeczku, pozwałała ciekawym dzieciom swe niedopierzone młode rączkami głaskać, nie ustępując wcale z gniazda.

Jakaż była radość młynarstwa tej wiosny, gdy znowu taż sama ptaszyna, na tem samem miejscu usłała sobie gniazdko i wysiedziała znowu czworo młodych.

Oby znowu szczęśliwie powróciła!

Umizgi gołębia do kota. Szanowi czytelnicy nauczeni słyszeć wprost coś przeciwnego, nie zechcą dopuścić w tej rzeczy prawdy, a jednak tak było. Honor tych gołębiich umizgów dostał się naszej domowej białej kotce. Rzecz się tak miała. Od niejakiemu czasu para obcych gołębi, odwiedzała stale w czasie

karmienia drobiu, nasze podwórko, a kury szanując polską gościnność, chętnie dzieliły się swoją częścią z przybywającymi gośćmi, wśród której gawiedzi grzeczna kotka zawsze przebywała. Gołąb samiec był grzywiasty, a samiczka biała, której nawet u nas na gościnie nie szczędził swoich pieszczot i szarmanteryi. Nie-szczęście chciało, że rabuś jastrząb zabrał mu towarzyszkę. Przylatywał więc sam do nas zrozpaczony małżonek, a gruchał i wołał tęskno po wszystkich kątach za swoją gołębicą, kędy niegdyś, wśród błogich dni domowego szczęścia zwiedzali. Bywał też u nas parę razy co dnia garnąc się chętnie do drobiu biało upierzonego, niepominawszy nawet i kotki. Widocznie pociągał go biały kolor, który mu przypominał utracony drogi skarb serca jego. Kotka widocznie zrozumiała serce stęsknionego wdowca, a skoro ten szarmaneko koło niej gruchać począł, zaraz przewracała się z boku na bok mrucząc z cicha, jakby go w smutku jego pocieszać chciała. Tak więc i zwierzęta z natury nie bardzo przyjaźnie ku sobie usposobione wzajemnie polubić się mogą, jeżeli nie żywią w sobie podstępnych zamiarów.

Wincenty Dąbrowski.

Pustynnik w Galicyi i na Bukowinie.

W r. 1860 pojawił się po raz pierwszy w środkowej Europie nowy ptak, który z wiosną zawitał do Holandyi i Wielkiej Brytanii. Był to pustynnik (*Syrhaptēs Pallasii*), kurak kształtu gołębia z długimi kończastymi skrzydłami i ogonem klinowatym. Ptak ten przebywa stale na stepach i piaskach Azji środkowej, a z przyczyn nieznanych odbył tak daleką wędrówkę. W dwa lata później pojawił się znowu w Europie, a tym razem obserwowano ciąg jego od Brodów w Galicyi aż do wybrzeża Irlandyi, jak to Brehm podaje. Wówczas osiedliły się były pustynniki na wyspach fryzyjskich przy zachodnim wybrzeżu Szlezwiку, gnieździły się tam i wywiodły jedno pokolenie młodych.

Z wiosną roku bieżącego zawitał ten rzadki a pożądany gość ponownie i obrał sobie jak się zdaje drogę przez Bukowinę i Galicyę, ciągnąc do piaszczystych wydm szleszwickich. Ponieważ jest nadzieja, że Pustynnik stale w Europie osiedlić się zechce i pomnoży liczbę ptaków łownych, przeto pojawiły się odezwy, wzywające do opieki nad nim i obserwacyi zachowania się jego na obczyźnie. Z Galicyi pierwszy *Łowiec* podał o pu-

stynniku wiadomość i już przed dwoma miesiącami zachęcał miłośników przyrody do badań nad tym ptakiem. — W ostatnim numerze z d. 1. czerwca rb. zamieścił *Łowiec* artykuł, w którym przytacza daty zebrane dotychczas co do pobytu pustynnika w Europie. Zbadaniem całej kwestyi a szczególnie wysledzeniem czasu i kierunku tegorocznego ciągu nowego przybyśza zajmuje się szczegółowo komitet dla ornitologicznych stacyj obserwacyjnych w Austro-Węgrzech, pozostający pod protektorem arcyksięcia Rudolfa. Komitet ten wezwał swych delegatów do zbierania dokładnych dat o pustynniku. To też prof. dr. Maksymilian Nowicki w Krakowie, jako delegat dla Galicyi, zwraca się z prośbą do wszystkich tych, którzy w roku bieżącym mieli sposobność obserwować pustynnika, o nadsyłanie na jego ręce możliwie szczegółowych dat co do czasu pojawienia się tego ptaka, ilości stadek, jego osiedlenia, pożywienia, gnieźdzenia, lęgu itp. Daty te będą mogły dać dokładny obraz pobytu pustynnika w Galicyi i na Bukowinie.

W Niemczech, gdzie bardzo wiele tych ptaków się osiedliło, potworzyły się już osobne Towarzystwa ku ich obronie. Ze wszystkich stron Niemiec donoszą, że ptaki te już tego lata się gnieździły i wywiodły młode. I tak piwowar z Hochwald (majątność prymasa ołomunieckiego Fürstenberga) doniósł do austr. *Forst. Zeitung.*, że w Gross Peterswald osiedliło się już stale 25 azyatyckich pustynników.

Ptaki te żyją podobnie jak nasze kuropatwy, trzymają się suchych płaszczyzn, pól i ugorów, gnieźdzą się na ziemi i przeważnie żywią się nasionami. Są to ptaki przelotne, które jednak nie przelatują regularnie do krajów południowych, lecz w zimie zmuszone wielkimi śniegami i głodem, opuszczają granice swego kraju rodzinnego.

Sztuka leczenia u zwierząt.

Gazette des Hôpitaux umieściła niedawno bardzo ciekawe sprawozdanie z rozprawy francuskiego uczonego Gaétana Delaunay, o sztuce leczenia u zwierząt, odczytanej w towarzystwie wielu uczonych przyrodników.

Zwierzęta wiedzione instynktem wybierają sobie pożywienie najodpowiedniejsze a w wypadkach słabości najstosowniejszy (najracyonalniejszy) sposób leczenia.

Uwalniają się od owadów i pasożytów kąpiąc i tarzając się w prochu, glinie i innych lipkowatych cząstkach ziemnych. Jaskółki wyrzucają dotknięte chorobą młode z gniazda, aby uchronić drugie od zarazy.

Zwierzęta chore na febrę poddają się najściślej dyecie, zachowują się spokojnie, wyszukują kryjówki ciemne i chłodne, piją dużo wody i kąpią się w niej.

Gdy pies stracił apetyt do jedzenia, spożywa trawę jako najlepszy środek na wzmocnienie i rozwolnienie. W podobnym wypadku wyszukują koty pewne zioła. Toż samo czynią chore owce i krowy.

Psy cierpiący na zatwardzenie połykają łakomo tłuszcz, oliwę, masło i t. p. aż do skutku; także i konie czynią toż samo.

Dręzone reumatyzmem zwierzę wystawia się na działanie promieni słonecznych.

Na rany i okaleczenia zastosowują środki następujące:

Zraniony Szympanś zatyka ranę ręką, liśmami lub trawą, aż krwawie przestanie. Zwierzę zranione tak, że część albo cały członek odłączony być musi, odbywają amputację własnymi zębami.

Pewien myśliwy F. w departamencie Puy de Dome zrobił następujące spostrzeżenie na psie własnym, którego żmija w nos ukąsiła. Pies ten trzymał przez kilka dni ciągle głowę w wodzie płynącej, aż się wyleczył.

Pies gończy przejechany wozem, doznawszy silnego zmiażdżenia, położył się do potoczku i mimo zimnej pory pozostawał w tej kąpieli przez trzy tygodnie, gdzie mu jeść przynoszono, aż wyzdrowiał.

Zauważano także, że jamnik, który się w prawe oko skaleczył, wlażł pod stół, unikając starannie ciepła i światła, gdy przedtem najmilej było mu przy piecu.

Zachował najściślej dyetę i spokój a kurował się w ten sposób, że ciągle przez dwa dni i nocy lizał łapę i oślinioną przecierał oko.

W końcu oświadczył Delaunay, że w empiryzmie zwierzęta więcej okazują doskonałości, niż lekarze, chociaż sam jest lekarzem.

Badacz przyrody Fatio z Genewy opowiada w gazecie łowieckiej *Diana*, że już po trzykroć miał sposobność doświadczyć, jak zraniona słonka (słomka) bardzo sztucznie sporządza sobie dzióbem z piórek opaski. Umie także bardzo zgrabnie na krwawiącą ranę przyłożyć sobie plaster, a bandaż na członki złamane. Zastrzeliłem raz takiego ptaka, który na starej ranie na

piersi miał plaster z puchu wyskubanego w miejscu innem. Drugi raz znalazłem taki plaster przylepiony krwią skrzepłą z rany na ogónku. Kilka razy przyniosłem takie ptaki do domu, które miały na złamanej nóżce obwiązki z piór sklejonych krwią zaschłą. Bandaż był akuratnie na tem miejscu, gdzie była kostka złamana.

U jednego była nóżka obwiązaną świeżo pierzem z brzucha i z grzbietu pochodzącem. Szczególny i politowienia godny wypadek dostrzegłem u jednej słonki, której obydwie nogi odstrzeliłem, a którą dopiero po dwóch dniach odszukałem. Udało się biednemu zwierzęciu założyć obwiązki na obydwóch miejscach zranionych. Kilka krwią zboczonych piórek przylepiło się do dzióbka i tam przyschły zalepiając dzióbek. Słonka nie mogąc używać nóg, nie mogła się uwolnić od tych piórek i bliską była śmierci głodowej.

Inny przyrodnik Maguin opowiada w tejże gazecie następujące zdarzenie.

Polując z dwoma towarzyszami w Listopadzie 1859 r. w lesie Versoix widzieliśmy słonkę, która z pod strzału uciekając miała jedną jakby przestrzeloną nóżkę wiszącą. Gdy ją później ciż sami myśliwi zastrzelili, zbadano ranę dawniejszą. Pierwszym razem została dolna część nogi złamaną w połowie. Słonka przyłożyła część odłamanej nóżki aż ku kolanku i obwiązała grubo piórami i mchem, a co najbardziej zadziwiało, że przywiązka była z długiej mocnej słomy. Słonka ta zwiniętą była w formie spiralnej około dwóch końców złamanej nóżki; obydwie końce przymocowane były jakąś przejrzystą, klejową materią. Ponieważ część kostki dolnej sięgał aż powyżej kolanka, straciła ruch całą nóżka, i była zupełnie sztywną. Mogła zatem tylko służyć jak kula do podpierania się.

SŁONIE

na obchodzie jubileuszowym w Monachium.

Przy „Festzugu“ wyprawionym dnia 1. września w Monachium z okazji stuletniej rocznicy Ludwika I. zdarzyło się straszne nieszczęście, jakiego nie było w Europie od czasów starego Rzymu. W pochodzie, który według wzoru Makarta składał się z różnych grup, tworzyła grupa kupiectwa najpiękniejszy punkt, która też od publiczności nagromadzonej, liczącej około 150.000

ludzi, najbardziej entuzjastycznie została powitana. W tej grupie między innemi, kroczyły dromedary i ośm słoń, wypożyczone z cyrku Hagenbecka, i wspaniałe ogromne wozy.

Zwierzęta słuchały wybornie rozkazów i zostały też z trybuny dworskiej, gdzie się znajdował książę-regent Luitpold, książę Leopold i arcyks. Gizela, nadzwyczaj żywo oklaskiwane. Wtem niedaleko łoża dworskiej, tuż koło nowo wystawionego pomnika króla Ludwika I. zaczął wóz mający kształt smoka, z grupy kolei żelaznej parę wypuszczać, a gdy to słonie usłyszały, spłoszyły się i przełamując szeregi widzów, wpadły w przerażony tłum. Powstał ogromny krzyk i panika, tłum rzucił się do ucieczki.

Kilka trybun się zawaliło. Wiele kobiet zemdłało, lub uciekło na boczne ulice, podczas gdy pochód festynowy w porządku zmienionym sunął dalej. Słonie biegly ulicami, publicznością zapelnionemi i rozsiewaly panike, obalajac ludzi. Cztery słonie wydostawszy się z miasta, zaalarmowały wieś Schwabing, gdzie dopiero późno po południu zdołano je przylapać.

Dwa słonie wpadło po schodach do teatru nadwornego pod portyk, kalecząc wszędzie ludzi. Jeden słoń zawalił portal urzędu menniczego, wpadł na podwórze i znowu stamtąd wybiegł, a połączywszy się z dwoma innymi, biegł ulicą Ludwika, Brienzerstrasse, targowicą wiktualową i Mannenplatz, gdzie stało 30 tysięcy ludzi, nie mających pojęcia o nieszczęściu, które się stało. Tutaj zdarzyło się największe nieszczęście, dwie kobiety zostały na śmierć zatratowane, 20 osób ciężko skaleczonych.

Także i konie stojące na placu Marji spłoszyły się i pędziły w poprzek tłumy ludzi. Wreszcie przybyły słonie do Annenstrasse i wpadły tam do podwórza domu. Od godziny pół do 7 wieczorem pracował personal menażeryi, straż ogniowa i żołnierze, aby zwierzęta wydobyć z podwórza. Słonie stały w kącie zbite nikomu nie robiąc, ale nie chciały słuchać dozorców menażeryi przerywając wszystkie powrozy, które im na szyję rzucano celem wydobywania ich z podwórza. Pomimo tego nieszczęścia uroczystość oficjalna nie została przerwana. Wśród ludności panowało ogromne wzburzenie.

Miedzy innemi roztratowały słonie na śmierć panią Goetz, wdowę po sekretarzu. Jedna kobieta padła tknięta apopleksją. Artystka cyrkowa Wagner ma trzy żebra złamane, jeden oficer szwależerów został pokaleczony trąbą. Jeden student spadł z konia. Właściciel słońców Hagenbeck przyciśnięty do słupa latarni.

niowego, doznał bolesnych obrażeń. W ogóle pokaleczonych śmiertelnie jest dwóch, a 11 ciężko pokaleczonych, oprócz niezliczonych lekkich pokaleczeń. W policyi zgłoszono 140 dzieci zaginionych.

Publiczność była po większej części sama winna katastrofy, gdyż słonie spłoszone pędziły na prost, nikogo nie obalając, ale publiczność podniosła straszliwy krzyk i biła zwierzęta parasolami, kijami, wskutek czego słonie rzuciły się na publikę. Na podwórzcu, gdzie wreszcie złapano te słonie, bawiło się kilkoro dzieci, a słonie z największą ostrożnością obiegały je nie wyrządzając im żadnej krzywdy. Atak słoni był tak silny, że mury się waliły.

Słonie deptały dorosłych, a dzieciom nie czyniły żadnej szkody. Na owem podwórzcu zawaliło się wreszcie sklepienie piwnicy i jeden z największych słoni runął w głębię rycząc straszliwie.

Na koniec straż ogniowa, ciężka kawalerja i personal menażeryi zdołał okiełzać słonie i sprowadzić do cyrku. Jeden słon otrzymał raną w czoło od bagnetu. Tegoż dnia wieczorem odbyło się już przedstawienie w cyrku.

Całą winę tego nieszczęsnego wypadku przypisują komitetowi, który nietylko nie usłuchał przestrogi Hagenbecka, iż niebezpiecznem jest, wprowadzać słonie w tłumy 100 tysięcznej ludności, lecz nadto uparł się przy swoim, aby słonie powracały tą samą drogą, którą przyszły. Słonie te uszły nie dawno z trudnością śmierci przy pożarze cyrku, a teraz przechodząc koło wozu parowego, gdy poczuły woń spalenizny, zobaczyły ziejące iskry i usłyszały szum wypuszczonej pary, przypomniały sobie przebyte niebezpieczeństwo i strwożone szukały w ucieczce ratunku.

Rzeczywiście, że w tym wypadku należy przyznać słoniom więcej rozumu niż ludziom, bo gdyby to ludzie uciekali, liczba stratowanych i poduszonych byłaby o wiele większą. To też dziś ludność monachijska przyznaje sama, że zawiniły tu nie słonie, lecz nosorożce (rhinocerosy) z komitetu.

Strasliwa katastrofa w arenie walki byków.

W niedzielę wielkanocną było miasteczko meksykańskie Celaya widownią okropnej katastrofy, w której setki osób śmierć poniosło. Celaya, małe miasto w stanie Guanaagnato, położone

o 100 mil angielskich na północny zachód od Meksyku, słynie z walk byków, które rok rocznie w niedzielę wielkanocną z ogromnym przepychem i okazałością się tam odbywają. Na te ulubione igrzyska przybywają Meksykanecy z najodleglejszych okolic kraju a już z początkiem wielkiego tygodnia rozpoczynają się te procesjonalne wędrówki. W tym roku napływ obcych do Celayi był olbrzymi, a mała miejscina zamieniła się w formalne obozowisko. Widownią walk był ogromny cyrk z drzewa pokryty dachem z mat słomianych, które widzów chroniły przed palacemi promieniami zwrotnikowego słońca.

Według dawnego zwyczaju sprowadzono także na galerję cyrkową więźniów wojskowych i cywilnych, którzy tylko raz na rok przypatrywać się mogą ulubionym igrzyskom. Więźniowie strzeżeni są przez silny oddział żołnierzy i wszelka ucieczka jest prawie nie możliwa. Wojskowi aresztanci postanowili jednak bądź co bądź uwolnić się z kajdan, a zważyć należy, że władze meksykańskie nader surowo obchodzą się z więźniami, a często gęsto nieposłusznych karzą dotkliwą chłostą cielesną. W nocy z soboty na niedzielę porozumieli się aresztanci i ułożyli cały plan wyswobodzenia się.

Podczas gdy cały cyrk z uwagą i zajęciem przypatrywał się, jak torreador drażnił rozwścieczonego byka, a pikinierzy ścigali rozjuszzone zwierzę i nawet straż wojskowa zapomniała na chwilę swych obowiązków, przypatrując się ulubionym zapasom, wówczas jeden z aresztantów rzucił płonącą, olejem namoczoną szmatę, na dach budynku, a morze płomieni w jednej chwili ogarnęło drewniane zabudowanie.

Nie mamy pióra na opisanie scen, jakie rozgrywały się w cyрку. Widzowie chcąc ratować swe życie spieszyli tłumnie do wyjść, tymczasem o swobodnem wyjściu mowy być nie mogło. Tłum w nieporządku sam czynił niemożliwym wszelki ratunek; zrozpaczeni dobywali nożów i niemi torowali sobie przejście, inni strzelali z rewolwerów i mordowali wszystkich, którzy im stali w drodze a paniką przejęta publika zrzucała się z wysokich rusztowań galerji na ziemię i tam zginęło przeszło 50 osób w okropnych mękach.

Przerażenie wzmogło się do najwyższego stopnia, gdy dozorczy opuścili klatki byków, a rozjuszona zwierzęta wypadły na arenę niosąc wszędzie śmierć i zagładę. Kilkadziesiąt osób, przeważnie kobiet i dzieci, zginęło pod rogami rozszalałych byków,

86 widzów poniosło śmierć w płomieniach a setki poniosło tak ciężkie uszkodzenie ciała, iż lekarze zwątpili o ich wyzdrowieniu. Wielu dostojników republiki zginęło w płomieniach i nie masz prawie rodziny w mieście, któraby nie opłakiwała zgonu krewnych lub znajomych.

Podpalacze natychmiast rzucili się na strażników i rozbili ich — daremne jednak były wszelkie usiłowania; największa część zginęła w ogniu a reszta popadła w ręcy żołnierzy. Kilku zaledwie zdołało ujsć lecz schwytni przez mieszkańców zginęli okropną śmiercią pod razami oburzonej ludności.

Przed 300 laty zdarzył się już podobny wypadek w Celayi lecz klęska nie miała wówczas takich rozmiarów jak katastrofa w niedzielę Wielkanocną, którą na równi postawić chyba można z katastrofą teatrów w Wiedniu i Oporto.

Walki byków we Francyi.

Torreadorowie hiszpańscy odnoszą teraz ogromne tryumfy we Francyi. W Nimes odbyła się nie dawno walka byków, w której produkował się słynny Angeli Pastor. Dwadzieścia tysięcy Francuzów przypatrywało się tej dzikiej zabawie. Przedstawienie rozpoczęło się o godzinie 4. popołudniu a zachwycona publiczność odwagą i sprytem Pastora, nie znała miary w okazywaniu mu swego szlachetnego uniesienia. — Już pokonywał piątego wołu, gdy nagle pośliznął się, upadł, a roświecielony byk począł włożyć nim po całej arenie, podrzuciwszy go dwa razy w powietrze. Pastor nie stracił jednak przytomności, uchwycił woła za rogi i wyskoczył za barjerę. Gdy wkrótce znowu okazał się na arenie wybuchła ogłuszająca burza oklasków. Domagano się koniecznie zabicia tego wołu, lecz władza przerwała dalsze przedstawienie.

Strzelnice z trupów ludzkich.

Gdy wiwisektorowie szperają żelazem i ogniem w wnętrznościach żywych zwierząt, aby nieco uzyskać dla swej sztuki leczenia drudzy robią próby na trupach, jakby najłatwiej uśmiercić jak najwięcej ludzi.

Niedawno donosiliśmy o próbach karabinów różnego systemu na żywych koniach w Spandawie, teraz już pomknęła ludzkość wyżej i używa dla tych samych celów trupów ludzkich. W Paryżu odbywają obecnie próby karabinu systemu Lebel'a na trupach

a osiągnięte rezultaty napełniają szlachetną dumą postęp ludzki w wzajemnem wymordowywaniu się. Broń systemu Lebel'a działa z taką szaloną szybkością, że kula przebija kość na wskrós nie rozłupując jej. Duch postępu w wynajdywaniu pocisków morderczych stanie wkrótce na tej wyżynie, że żołnierz zostanie w bitwie zastrzelony, nie wiedząc nic o tem i nie jeden zechce jeszcze ładować karabin, gdy na le spostrzeże się, że on już jest zabitym.

JENERAŁ LEE.

O sławnym jenerale wojsk Stanów południowej Ameryki Robercie Lee, (1861—1865), który umierając powiedział: „ja nie mam żadnego nieprzyjaciela“, opowiada biograf jego następujące zdarzenie:

Jenerał Lee oglądał baterię armat, ustawioną za Richmondem, gdzie rozstrzygającą stoczono bitwę. Ponieważ był przez żołnierzy i podwładnych oficerów bardzo lubianym, to też spora liczba zgromadziła się około niego, postępując krok w krok z nim razem. Gdy to dostrzegł oficer baterii nieprzyjacielskiej, skierował armaty na tę grupę ludzi. Jenerał Lee zawsze ostrożny i rozważny, poznał zamiar tego oficera i rzekł jak zwykle spokojnie: „Słuchajcie koledzy! zdaje mi się, że zrobilibyście lepiej, gdybyście odstąpili odemnie, gdyż właśnie wymierzono działa na nas, a wy niepotrzebnie na śmierć się narażacie“. Oficerowie cofnęli się natychmiast za szanice, a jenerał sam jeden dalej oglądał pozycję, krocząc zwolna, pomimo, że kule gwizdały około głowy jego. Przechodząc przez podwórze, na którym stało jedno drzewo, schylił się, podniósł coś z ziemi, położył na gałąź i poszedł dalej. Gdy ogień armatni na chwilę ustał, jeden z oficerów ostrożnie wychylił się z za szanców, aby zobaczyć, coby to być mogło, ce jenerał wśród gradu kul z ziemi podniósł i przekonał się, że to był młody wróblek, który z gniazda wypadł i na drzewo podlecieć nie mógł.

W sprawie rzezi rytualnej żydowskiej.

(szechita).

Namiestnictwo galicyjskie reskryptem z dnia 8 lipca b. r. zażądało od wszystkich starostw sprawozdania opartego na faktycznym stanie rzeczy, jaki proceder bywa praktykowanym przy

biciu była przez izraelickich szechterów, czy w tej mierze istnieją na mocy zasad religijnych mojżeszowego wyznania przepisane, lub też przez kompetentnych funkcjonariuszów wyznaniowych wydane rytualne postanowienia, wreszcie czy przy rytualnem biciu była przez izraelickich rzezaków spostrzegać się nie daje jakkolwiek rodzaj dręczenia zwierząt.

Sprawie tej poświęca *Ojczyzna* organ Stowarz. „Przymierza Braci“, „Agudas Achim“ z d. 15. sierpnia 1888 nr. 16 natzelnny artykuł, który tu dla zapobieżenia zarzutom jakobyśmy stronniczo artykuł ten streścili w całości i dosłownie przytaczamy: Artykuł ten brzmi:

„Namiestnictwo galicyjskie w zeszłym miesiącu rozesłało do wszystkich starostw okólnik, tyczący się rytualnej rzezi była u żydów, w którym to okólniku porusza z lekka kwestyę dręczenia zwierząt wskutek praktykowanej u żydów rzezi rytualnej. Kwestya to nie nowa. Służyła i służy jeszcze ciągle w Niemczech za przedmiot agitacyi anty-żydowskiej ze strowy „Towarzystwa dla ochrony zwierząt“ a lubo do tychczas bez skutku, nie przestaje jednak baśń o dręczeniu zwierząt przez rzezaków żydowskich, rozszerzuć się coraz bardziej, okrażać coraz liczniejszy poczet pism codziennych i naukowych. Świeżo wystąpiło warszawski czasopismo *Zdrowie* przeciw sposobowi zarzynania i konserwowania bydła, praktykowanemu u żydów — wywołując swe zapatrywania w imię humanizmu i dbałości o higienę. Kwestya więc została poruszona, im rychlej nastąpi wyjaśnienie, im dokładniej się wykaże niesłuszność podniesionych zarzutów, tem łatwiej zostanie cała kwestya usunięta z porządku dziennego, jak to się stało z tyloma innymi zarzutami i posądzeniami.

Tą kierując się myślą, dajemy tu w dosłownym przedruku tę część trafnej odprawy, jaką dał Izraelita warszawski w najnowszym swym numerze *Zdrowiu*, w której wykazuje całą beczasadność podniesionego zarzutu, jakoby rzeźnianie rytualne było okrutne a i z ustawami dla ochrony zwierząt niezgodnem. Oto co wymienione pismo pisze:

Nie jest tu naszym zamiarem wdać się w dyskusyę teologiczną w obronie rzezi rytualnej u żydów. Wraz ze wszystkimi spółwierzami, na wysokości cywilizacyi epoki stojącymi, bolejemy owszem i my nad zrządzeniem dziejowej opatrzości, która sprawiła, że i we względzie przyrządzania pokarmów prawowierni wyznawcy judaizmu muszą się wyróżniać od innych, że w ogóle, sposób uśmiercania zwierząt na spożycie, jak wiele innych nakazów, z metafizyką nie wspólnego nie mających, przybrał we współwierzczym naszym ludzie znaczenie religijnego, niewzruszonego przykazania. I nie mogło się stać inaczej. Prawodawca Izraela, by tym skuteczniej odwieść lud swój od niedorzecznych i szkodliwych narowów u pogan nabytych, i nagiąć go do życia prawego i rozumnego, uznał za właściwe zalecać mu wszystko pod formą bezpośredniego nakazu Boga. I tak otrzymały religijne uświęcenie, odtąd już

w ludzi nietykalne wszelkie przepisy, do zachowania czystości, porządku i zdrowia odnoszące się. Do tych między innemi, należą dwa zalecenia: 1) Zarzynania zwierząt na spożycie, co, przy znanej miłości do Mojżeszowego zakonu dla wszech istot żyjących, miało niewątpliwie na celu ile można największe oszczędzenie zwierzętom przedśmiertnej męki, oraz nagle i najobfitsze upuszczenie z zarzynanego ciała krwi, której użycia zakonodawca zabronił, i 2) Nie używanie padliny i niedożartego przez drapieżne zwierzęta bydła na polu (newela i terefa), co również względ tylko zdrowotny mogło mieć na celu. — Te to dwa przykazy późniejsza tradycja rozwinęła w moc ustanowień i prawideł najskrupulatniejszych, przepisując normy niechybne dla aktu rzeźniania, a w szczególności, wyraz *terefu* tłómacząc w znaczeniu choroby, czyli stanu zdrowia zwierzęcia, przy którym 12 miesięcy nie może pożyć, ustanowiła porządek badania wewnętrznych organów: czaszki, żołądka, trzewiów, głównie płuc, ażali nie ma tam wady organicznej, przy którejby zwierzę żyć nie mogło i jako takie stałoby się trefnem, czyli — niepożywalnem.

Taki mają pierwiastek i takie znaczenie przepisy pokarmowe u żydów. ile się tyczą zarzycmania i koszerowania.

Nie jest tu tedy, jak rzekliśmy, naszym zamiarem rozbierać stronę teologiczną kwestyi, którą każdy tłómaczyć sobie może, jak mu się żywnie podoba. — Ale, w obec ustalonej już u żydów, od wieków, praktyki rzeźniania, jako normy religijnej, obowiązkiem naszym jest, w imię prawdy i poszanowania dla przekonań religijnych mas, zaprotestować, z naukowego stanowiska, przeciw zdaniom, wystawiającym rytualny sposób rzeźniania u żydów jako od innych środków uśmiercania okrutniejszy i bardziej nieludzki.

Już to samo, że sposób ten zalecany jest przez prawodawstwo, którego motywem, w każdym niemal przekazaniu, jest litość i miłosierdzie nad żyjącemi istotami, — a takim bezspornie jest zakon Mojżesza, z niezliczonemi swemi tej kategorii naukami, — już to samo mówimy, świadczy przeciw mniemaniu, piętnującemu ów sposób, jako najokrutniejszy. Niepodobna bowiem przypuścić, aby Mojżesz miał nie znać innych manipulacyj uśmiercania zwierząt, wówczas i do dziś dnia w użyciu będących, jak uderzanie ciężkiem narzędziem w głowę i t. p., co przez dzisiejszych mniemanych opiekunów zwierząt uważane jest za humanitarne pozbawienie czucia i przytomności...

Ala i nauka współczesna, w osobie najznakomitszych swych przedstawicieli, nie tylko zadaje kłam owemu mniemaniu, lecz przeciwnie, mieni sposób rzeźniania żydowski najmniej ze wszystkich okrutnym, możliwie jak najmniej męki zwierzęciu zadającym, i powszechnego nawet zaprowadzenia godnym. Trudno nam nawet było zrozumieć ową powierzchowność traktowania kwestji przez autora artykułu w *Zdrowiu*, owo apodyktyczne stawianie zdań, niczem nieopartych, z własnego jeno „widzimi się“, podczas gdy tomy całe możnaby już zestawić z tego, co największe powagi naukowe w tej materji napisały.

I tak, aby zbytnio czytelników cytatai nie nużyć, wymienimy kilkanaście koryfeuszów spóczesnej nauki fizjologicznej i specjalnie

weterynaryjnej, którzy jednozgodnie wymotywowany wydali sąd, iż rzeźnianie żydowskie jest operacją, najmniej dla zwierząt bolesną i najszybciej śmierć mu zadającą. Są to profesorowie drowie Virchow, Du Bois-Reymond, Rolof, Hartwing w Berlinie, prof. Gerlach, dyrektor szkoły weterynaryjnej w Hanowerze, prof. Zanager, dyrektor takiejże szkoły w Zurychu, dr. Probstmayer, król. bawarski lekarz sztabowy w Monachium, dr. Fürstenbezz, prof. akademii w Eldenie, prof. John Gamgee, dyr. szkoły weteryn. w Londynie, prof. H. Bouley, inspektor jeneralny zakładów weterynaryjnych we Francyi, prof. Fuchs w Karlsruhe, prof. dr. Reclam, w wydanem przez się w Berlinie czasopiśmie „Gesundheit“ — Zdrowie). — Dla uwidocznienia opinii tych mężów nauki, których o niezgodne swem przekonaniem świadectwa dla miłości żydów i ich tradycyi, pewnie pomawiać nie można, zacytujemy końcowe zdania zaświadczeń niektórych z nich.

I tak prof. Virchow kończy swój atest następującemi słowy:

„Według mego przekonania, niepodobna z najmniejszym nawet cieniem słuszności twierdzić, aby rzeźnianie praktykowane u żydów, w porównaniu z innemi sposobami uśmiercania, było męceniem zwierząt“.

W ten sam prawie sposób wyraża się prof. Du Bois Reymond, w sprawozdaniu, złożonem komisji parlamentarnej berlińskiej w m. styczniu 1885 r.

Prof. Rolof, dyrektor szkoły weterynaryjnej w Berlinie, wykazawszy skuteczność sposobu używanego przez żydów, pisze:

„Dla tego, metody tej, w porównaniu do innych metod zarzynania, nie uważam bynajmniej za męczenie. Ze względu na to, że szlachtowanie żydowskie łatwo i dokładnie się uskutecznia, podczas, gdy przy innych sposobach bicia, skutkiem niedokładnej roboty śmierć zwierzęcia bywa często opóźnioną, uważam rzeźnianie za stanowczo najlepszą metodę uśmiercania zwierząt“.

Wszyscy słowem pomienieni uczeni jednozgodnie motywuja sąd swój tem, że skutkiem rozcięcia wen szyjnych i karjotydy, następuje natychmiastowy wpływ krwi z mózgu i utrata czucia i przytomności. Drgawka zaś i inne oznaki mocowania się ze śmiercią, jakie widać na zarzynanych zwierzętach, w kilka nawet minut po dokonanej rzezi, są to odruchy, zupełnie już bezwiednie, automatyczne, kiedy przytomności i czucia ni śladu już w opróżnionym z krwi mózgu.

Przytoczmy jeszcze zdanie prof. dra Reclama w czasopiśmie „Gesundheit“ (Nr. 7. z r. 1885).

„To co towarzystwa opieki nad zwierzętami dotychczas przywołały przeciw żydowskiemu rzeźnianiu, nie ma żadnej wartości, i najmniejszej krytyki naukowej nie wytrzymuje. Pod względem higieniczno-moralnym nie powinien z niczyjej strony być wydany zakaz stosowania tej metody, nie tylko dla tego, że nie ma żadnej do tego zasady, ale że zakaz taki byłby gwałtem zadany sumieniu i równoważnym z zakazem używania mięsnych pokarmów dla całej ludności mojeszowego wyznania“.

O autentyczności przywiedzionych tu świadectw sądzimy, iż autor artykułu w Zdrowiu i inni podobnie jemu na rzecz patrzący, wątpić

nie będą, gdyż oryginalne te atesty znajdują się dołączone do petycyi gmin żydowsko-niemieckich, podanej w roku 1886 do parlamentu niemieckiego, przeciw żądaniu niektórych tamecznych towarzystw opieki nie zwierzętami, o zakanie t. z. „szechity“. Mnóstwo równobrzmiących świadectw uczonych przywiódł dr. M. Kajzerling, rabin w Aarau w Szwajcaryi, w wydanej r. 1867 broszurze p. t. *Die rituelle Schlachtfraße*. Objął tamże dokładnie rzecz i mnóstwem cytat poparł p. Mojżesz Cohn u nas, w broszurze p. n. „Rzeżanie zwierząt u żydów jest li okrucieństwem?“, wydanej w roku 1879, z powodu artykułu p. S. Markiewicza, w temże samem piśmie *Zdrowie* onego czssu wydrukowanego.

Co zaś najbardziej dowodzi racjonalności owych poglądów naukowych na kwestyę rzeżania, to, że z rządów europejskich, tak skorych do zaprowadzania wszelkich humanitarnych ulepszeń na każdym polu, żaden jeszcze, mimo bezustannej prawie natarczywości antysemito usposobionych towarzystw opieki nad zwierzętami, nie dał się dotąd nakłonić do wydania jakiegokolwiek względem rytualnego rzeżania zakazu. I tak, odrzucił pokilkakroć żądania odnośne — rząd austriacki. W Saksonii, zgodnie ze zdaniem komisji weterynaryjnej, odrzucił rząd stanowczo petycyę drezdeńskiego tow. opieki nad zwierzętami, w roku 1882. W Szwajcaryi gdzie towarzystwa opieki nad zw. od lat wielu nieustanną prawie rozwijają agitacyę przeciw żydowskiemu rzeżaniu, rząd związkowy wciąż się ociąga z wydaniem jakichbądź w tej mierze zakazów, a ostatnio, dla pozbycia się natrętów, orzekł, iż musi wprzód poinformować się o zapatrywaniu na tę sprawę innych państw. W Prusiech, dwukrotnie w ciągu ostatnić paru lat występy do izby kilkudziesięciu zjednoczonych towarzystw op. n. zw., zupełne zrobiły fiaseco. Sprzeciwiła się ich żądaniu najbardziej partya katolicka z wodzem swym Windhorstem na czele, a to w imię zasad humanizmu i tolerancyi. Antysemita niemieccy knują nową zbiorową petycyę, ale jak dobrze poinformowani zapewniają, czeka ją ten sam los, co pierwsze.

W Anglii, gdzie humanizm w urządzeniach publicznych na najwyższym stoi szczycie, i gdzie rzeżanie rytualne dawnoby już było zniesionem, gdyby zarzucane mu okrucieństwo było uznanem, nikt nawet nie myśli o podniesieniu tej kwestyi. Toż samo we Francyi, we Włoszech, w Holandyi i innych kryjach zachodu.

Czy wobec tego podejrzenie, jakoby rytualne rzeżanie bydlą było okrutnem, nie jest li baśnią lub przesądem, godnym gmin?

Każdy przeczytawszy ten artykuł zapyta mimowoli: a jakież podnoszą zarzuty przeciw szechicie? czy nikt jeszcze nie wystąpił przeciw niej z argumentami i dowodami przeciwnej natury? czy żadna powaga naukowa lub fachowa nie orzekła nigdy nie przeciw szechicie? na jakichże tedy podstawach Towarzystwa ochrony zwierząt (wszystkie, jak twierdzi *Ojczyzna* — w celach agitacyi anti-żydowskiej) opierają swe argumentacye, domagając się u rządów zniesienia szechity? Jakież argumenta wyprowa-

dziło „Zdrowie“, przeciw któremu głównie jest skierowany artykuł „Izraelity“?

My już tute razы zaznaczyliśmy w *Miesięczniku* stanowisko nasze przeciw szechicie, że powtarzać tego, cośmy już wypowiedzieli, nie potrzebujemy. Gdybyśmy chcieli przytoczyć wszystkie cytaty najznakomitszych lekarzy i weterynarzy przeciw szechicie, wymienić wszystkie broszury w tej sprawie wydane, wyliczyć nazwiska rabinów (rozumie się nie w Galicyi), którzy stanowczo przeciw szechicie się oświadczyli, nie znaleźlibyśmy w *Miesięczniku* miejsca, a zatem ciekawych odsyłamy do poprzednich roczników organu naszego.

Tu tylko powiemy, że autor artykułu w Izraelicie z pewnością nie widział lecz tylko słyszał o rzezi rytualnej, nie wie przygotowań do tego aktu religijnego, nie wie wreszcie, czy zarzynanie odbywa się ściśle według przepisu rytuału?

Myli się autor twierdząc, że uderzanie ciężkiem narzędziem w głowę uważanem jest przez mniemanych opiekunów zwierząt za humanitarne pozbawienie czucia i przytomności. Wszystkie Towarzystwa występują, i to przeważnie z dobrym skutkiem, przeciw temu sposobowi znieczulania, a nawet nam we Lwowie udało się zaprowadzić w rzeźni publicznej maskę systemu Brunneau, której używają wszyscy rzeźnicy chrześcijańscy.

Że rządy niektóre nie uwzględniły prośb Towarzystw ochrony zwierząt (zawsze według autora antisemicko usposobionych) i nie wydały zakazu szechity, to pewnie nie z tych powodów, jakoby uznawały zarzynanie jako humanitarniejszy sposób zabijania, lecz ze względów na inne czynniki polityczno-socyalnej natury. Zresztą wiadomo, że starodawne, wiekami uświęcone zwyczaje i obyczaje nie znoszą się tak jednym zamachem. Że rządy w Saksonii, w Szwajcaryi i w Prusiech mają o rytualnem zarzynaniu nieco odmienne od autora artykułu zdanie, okazuje się stąd, że właśnie sądy w tych krajach wydały w najświeższym czasie bardzo surowe wyroki przeciw szechterom i to na podstawie zeznań weterynarzy, a wszystkie te wyroki otrzymały najwyższe zatwierdzenie. Wyrokami temi niekarano szechterów za uboczne przewinienia, lecz za sam akt zarzynania, gdyż udowodniono, że po zarznięciu rytualnem według przepisu, zwierzę zarzniete nie utraciła czucia przez minut 15 i dłużej. A gdzież się dzieje inaczej? W Niemczech nie doznały Towarzystwa w tej sprawie zupełnego fiaska, jak twierdzi autor, gdyż po przemó-

wieniu posła Windhorsta, „reichstag“ uchwalił: „przekazać petycję o obowiązkowe znieczulanie zwierząt przed zabiciem kancle-rzowi państwa do rozwagi, o ile zaś petycja odnosi się do wzbro-nienia „szechity“, przejść nad tem do porządku dziennego“. Prze-to co do „szechity“ nie oświadczył się „reichstag“ ani za ani przeciw. Całe tedy fiasko polega na tem, że sprawa ta nie była Windhorstowi na czasie.

Z takich samych powodów polityczno-socyalnych nie uchwa-lił „reichstag“ wniosku rządowego, — a to także po przemówieniu posła Windhorsta, — o zaprowadzenie podatku od psów w całym państwie. Powód ten wyraźnie Windhorst w mowie swej zaznaczył.

We Francyi i w Anglii sprawa ta nie jest tak piękną, gdyż tam żydów, trzymających się ściśle przepisów rytuału, nie wiele.

We Włoszech przygotowania do rzezi są przez rząd ściśle unormowane, i zupełnie odmienne od naszych.

Zresztą wiedzieć należy, że nikomu na myśl nieprzyszło, występywać przeciw samemu zarzynaniu, gdyż to koniecznie nastą-pić musi, dla wypuszczenia krwi.

Chodzi tu tylko o to, kiedy to zarznięcie nastąpić ma. Do-magamy się poprzedniego znieczulenia zupełnego, a potem może zarzynać tak rzeźnik chrześcijański jak i każdy szechter rytualny według swoich przepisów. Na to zgodził się rabin wiedeński i wielu innych rabinów w całej Europie, oświadczając, że ten sposób za-bijania wcale nie narusza przepisu rytualnego.

O to tylko chodzi wszystkim „anti-semickim“ Towarzystwom ochrony zwierząt.

F. L.

Zwierzęta proskrybowane.

Dawnemi czasy były bory i lasy pełne zwierza i ptactwa dzi-kiego, jeziora i rzeki pełne ryb. Myśliwstwo i rybołówstwo rozumne utrzymywało równowagę i łączyło pożytek z przyjemnością. Z postępem czasu i tak zwanej cywilizacyi, z wydoskonaleniem broni palnej i że-glugi nastąpiło w miejsce myśliwstwa tępienie zwierząt. Człowiek z wy-doskonaloną bronią wdierał się do puszczy nieprzebytych a na okrę-tach parowych dotarł aż do północnych lodowców niosąc wszędzie zni-szczenie dla świata zwierzęcego. Z powstawaniem nowych osad ludzkich poznikały lasy i puszcze, powysuszano jeziora i stawy i wiele rodzajów zwierząt przestało już istnieć. Znikły tury i bawoły a resztki żubrów mimo ochrony ich w puszczy Białowiezkiej szybko zdążają do ostate-cznego wyginięcia. Bobry tak licznie żyjące u nas nad jeziorami i rze-

kami dziś już zaledwie po menażeryach są widziane. — Ryby niszczone dynamitem, truczną i rabusiowskim łowieniem stały się dziś rzadkością. Dopiero w naszych czasach ocknięto się i starano się zachować resztki zwierząt od ostatecznej zagłady, ze względów ekonomicznych. Zaczęto wydawać ustawy ochronne. Rozumie się, że w czasie tak do gruntu zmaterjalizowanym, zasadniczą myślą tych ustaw był tylko pożytek. Po klasyfikacji zwierząt na pożyteczne i szkodliwe, wiele zwierząt nieszkodliwych dostało się na listę proskrypcyjną do wytepienia. Które tylko zwierzę nie oddaje absolutnej korzyści powinno być wytepiene. Tym sposobem dostały się na listę proskrypcyjną bociany, gołębie, wróble, wiewiórki, koty, króliki, psy i wiele innych zwierząt

Bociany. Gdyśmy w Marcu br. śród groźnej zimy około św. Józefa wydali odezwę o pomoc dla powracających bocianów, wystąpił szorstko jakiś „Myśliwy“ przeciwko nam wzywając swoich kolegów do uiszczenia tego szkodliwego ptaka. Przebieg walki między bocianami a żabami, jaszczurkami i innymi płazami podajemy tu na innym miejscu.

Gołębie. Inżynier-architekt wiedeński Adolf Tichy, długoletni aspirant do jakiegokolwiek orderu, otrzymał go podczas restauracji jakiegoś starego budynku i to na kapelusz czy na plecy, ze sfer najwyższych, od gołębi. Było z tego powodu między robotnikami śmiechu nie mało, co tak rozgniewało udekorowanego, że z orderem nowym udał się wprost do władzy policyjnej dla skonstatowania faktu, a następnie wniósł do Rady gminnej protest przeciw dekoracji tego rodzaju, żądając, aby Rada zarządziła wytepienie wszystkich gołębi gnieźdzących się po wieżach i starożytnych budynkach a żywionych ręką litościwą mieszkańców. Żądanie to umotywował tem, że gołębie zanieczyszczają pomniki dawnej budowy i psują je. Jako środek wytepienia podał, rozrzucanie grochu namoczonego w okowicie, potem zbieranie pijanych gołębi i oddawanie ich do kuchni zakładów humanitarnych dla ubogich. Właścicielom zaś gołębi należy wzbronąć wypuszczania ich na wolność, z powodów wyżej wyluszczonych. Ktoby zaś chciał wypuszczać swoje gołębie, musiałby od każdego zapłacić podatek i zawiesić na szyi markę uiszczonego podatku.

Magistrat wiedeński odrzucił projekt architektki z uwagą, że liczba gołębi bez pana nie jest w Wiedniu zbyt wielką, że ludność od wieków przyzwyczaiła się do nich i żywi je regularnie, że z przyczyny gołębi nie zawałił się jeszcze żaden pomnik dawnego budownictwa, że w Wenecyi, gdzie jest więcej zabytków sztuki, gołębie Św. Marka nie tylko nie są prześladowane lecz owszem ochraniane; wreszcie że opodatkowanie gołębi nie da się na razie przeprowadzić, dla braku latających organów do kontroli.

Wróble. Los tych szaraków, do kraju rodzinnego w doli i niedoli przywiązanych, uczciwie się żywiących, mądrych ptaków, przechodził różne koleje. Gdzie ich nie było, tam tęskniono za niemi, zapraszano i sprowadzano nawet do krajów zamorskich do Ameryki, Australii, Zelandyi, budowano im piękne domki i żywiono w zimie ciasteczkami,

Gdy się rozmnożyły proskrybowano ich i płacono nagrody za główki. Obecnie wypowiedziano im wojnę w Anglii, bo naród kupców pojąć nie może, jak można żyć ucziwie pobierając tylko dziesiąty procent. Za ubicie jednego tuzina płacą 6 pensów. Dotychczas w okolicy Cheshire ubito 7 tysięcy sztuk przeszło, a jednak ubytku ich nie znać.

Najgorzej powodzi się im w Niemczech, w kraju wielkich myślicieli i rachmistrzów. Jakiś uczony Józef Kolarzy oczernił ich w Stowarzyszeniu ornitologicznem obwiniając, że są wrogami ptaków śpiewających, a zamiast niszczyć owady, rozkoszują przy słodkich jagodach, grochach i innych przysmakach. W Prusiech, gdzie naliczono ich przeszło 22 milionów, okrzyczano ich jako złodziei zboża. Obliczono na podstawie zawartości żołądka, że każdy wróbel spożywa ni mniej ni więcej jak 8 mierzyc pszenicy rocznie. Kradną przeto z pola rocznie 800.000 szeffi zboża. Gdyby tak była w istocie, dawno by już wyginęły na niestrawność, gdyż z taką ilością muszą się uporać w krótkim czasie dojrzewania zboża i żniw. Po żniwach kończy się bowiem ich uczutowanie, a nastaje ciężka długa zima. Według takiego obliczenia przyszlibyśmy do konkluzji, że każdy chłop spożywa co najmniej jednego woła rocznie, bo w czasie świąt Wielkanocnych zapłączy się do żołądka jego jaki funkc mięsa. A przecież wiadomo, że chłop nie zjada jednego wołu rocznie.

Króliki. Rząd południowej Walji wyznaczył premję w wysokości 300 tysięcy zł. za wynalezienie środka do wygładzenia królików, mnożących się nadzwyczaj szybko i wyrządzających tem samem ogromną szkodę rolnictwu. — Pasteur zaproponował jako najlepszy środek rozszerzenie między królikami niszczącego zarazka kurzej cholery. Eksperymenta odnośnie przezeń w laboratorium przedsięwzięte wykazały, że pokarm tym zarazkiem nasycony niezawodnym jest środkiem do wytępienia królików; nie tylko wszystkie króliki, które zjadły ten pokarm, padły na miejscu, ale i reszta królików wprowadzonych do klatki padła ofiarą miazmatów emanujących ze zwłok potrutych zwierząt. Te same eksperymenta powtórzono następnie z owcami, psami, końmi i szczurami. Jednak żadne z tych zwierząt nawet nie zachorowało.

O tych próbach Pasteura dowiedziała się pani Pommery w Reims, właścicielka znanej powszechnie fabryki szampańskiego wina. Na jej obszernych dobrach mnożyły się króliki nadzwyczaj szybko i niszczyły pola w ten sposób, iż wygładzenie ich stało się koniecznością nieodzowną.

Pani Pommery oddała tedy swój folwark Pasteurowi z prośbą o zastosowanie na nim środka wytępiającego. Pasteur chętnie skorzystał z tej propozycji. W dzień po rozrzuconiu po całym polu pokarmu nasyczonego zarazkiem kurzej cholery znaleziono 19 trupów, na drugi dzień było ich 13, a w dniu czwartym i następnych nie widziano już żywego królika na polu. Tych 32 trupów stanowiło bowiem tylko małą częśćkę potrutych zwierząt. Po odgrzebaniu ziemi znaleziono w norach przeszło tysiąc martwych królików.

W trzech dniach wyniszczył Pasteur plagę coraz się wzmagającą na gruntach p. Pommery.

Wynik ten nadspodziewanie dobry upewnił ufność profesora Pasteura w skuteczność proponowanego przezeń środka, i nie ma wątpliwości, że wielka premja 300.000 zł. jemu przypadnie w udziale.

Koty. W Buda-Peszcze wydarzyło się kilka wypadków wścieklizny u kotów. Zarządzono tam z tego powodu wytepienie całego rodu kociego i dzień w dzień od rana do wieczora przeciąga ulicami miasta oprawca, który przeszukuje we wszystkich domach piwnice, strychy a nawet mieszkania lokatorów, w celu wyłapania wszystkich kotów. Oczywiście, że musi on staczać przy tem ciężką walkę, szczególnie z lokatorami płci niewieściej. Wściekle koty, które budapeszteńskiej publiczności takiego napędziły strachu grasują także w okolicy i na prowincyi. Jeden z dzienników peszteńskich donosi: Małą córeczkę p. Kubinyiego, właściciela dóbr w Gömöre, Margitę, ukąsił przed miesiącem kot wściekły. Kubinyi przywiózł kota do Pesztu, do profesora uniwersytetu dra Högyesa, który skonstatował u kota chorobę wścieklizny. Ciężko strapieni rodzice posłali córeczkę w towarzystwie jednego z lekarzy do Pasteura w Paryżu. Pasteur przyjął dziewczynkę do kuracyi i udało mu się po trzech tygodniach oddalić wszelkie niebezpieczeństwo. Przy tej sposobności mówił Pasteur z peszteńskim lekarzem o innych wypadkach jakie się w stolicy Węgier zdarzyły i zdziwił się ogromnie, gdy mu powiedziano jak wielka liczba kotów znajduje się w Peszcie. Zdaniem Pasteura kot jest najzupełnie niepotrzebnem zwierzęciem domowem, gdyż dzisiaj myszy i szczury tępić można skutecznie o wiele skuteczniej i pewniej aniżeli spuszczać się w tej mierze na koty. Wreszcie oświadczył Pasteur, że stolica postąpiła bardzo rozumnie wypowiadając kotom wojnę.

Psy. Uporanie się z psami przypadło w udziale p. Szpilmanowi. Jest on co do psów tego samego zdania co Pasteur o kotach. Według niego nie powinno się wcale trzymać psów dla usunięcia niebezpieczeństwa *).

Niewykluczoną bowiem jest rzeczą, że nawet w psie zdrowym nurtuje tajna wścieklizna a jad wścieklizny wsiąkł już w żyły kąsanych ludzi tak dalece, że im już wcale nie szkodzić nie może.

Walka o bociana.

Czytamy w *Lowcu* z Maja b. r.:

O bociana stoczyła się niedawno formalna batalia dziennikarska. Pierwszy strzał w obronie bocianów padł z galic. Towarzystwa ochrony nad zwierzętami. Wystąpiło ono z rzewną odezwą, ażeby wziąć bociany w opiekę, które, znalazłszy spóźnioną wiosnę, będą marzły i ginęły z głodu. Ta czułość, godna serc sentymentalnych, doprowadziła do pasyi pewnego „Myśliwego“. Wymierzył on następujący atak na „buśka“:

(Atak ten przedrukowaliśmy z Przeglądu w nr. 4. Miesiecznika na str. 55.)

*) Ciekawśmy dla czego on sam trzyma już od roku trzy psy w klatkach?

Morderczy to pocisk, a tem straszniejszy, że stoi niestety w zupełnej zgodzie z drobiazgowemi badaniami zoologów. Lecz Towarzystwo ochrony, a raczej jakiś ukryty jego obrońca, nie dał za wygraną i zamieścił następującą replikę:

„Jakiś Myśliwy zamieszcza odezwę, wzywającą do tępienia bocianów jako szkodników. Co co pożyteczności bociana myśliwy może mieć rację lub może też jej i nie mieć, w każdym razie to koncept niemiecki. Bocian z dawien dawna jest naszym gościem, przybywa do nas z zaufania — a już to taka polska natura, że kto wstąpi w progi nasze, choćby to był szkodnik-zwierzę, to i włos mu ze łba nie spadnie. Myśliwy ów powiada, że bocian czyni szkodę w polu gospodarszym. Jeżeli wyrządza szkodę, to dlatego, ażeby siebie i swoje małe wyżywić. Bądźmy więc sprawiedliwi“.

Dodać trzeba, że replika ta była zaprawiona licznemi dygresjami politycznemi, sprawą gorzelnianą. paralelami między zgubnością pisma a szkodliwością bociana — jednym słowem najserdeczniejsza krew polityczna (czytaj: atrament) pociekła w batalii o buśka.

Szczęk broni był tak wielki, że echo odbiło się aż o Warszawę. Tam, gdzie już zapewne trudniej o „koncepta niemieckie“, a gościnność polską — znają może lepiej niż z imienia, z taką znowu opinią wystąpił kronikarz „*Kłosów*“;

„W Galicyi wiosenne klęski przyrody wywołują, jak zwykle, filantropijne odezwy w sprawie pokrzywdzonych przez rozpęd natury mieszkalców okolic nadrzecznych. Obecnie głosy takie brzmiały w obronie nie tylko ludzi, ale i... bocianów. Galicyjskie Towarzystwo opieki nad zwierzętami ogłosiło światu, że spowodu spóźnionej wiosny, te klekocące długodziobe ptaki znajdują się w dość przykrych warunkach i wezwalo litościwych rolników, aby pomagali w krytycznych chwilach bocianiemu rodowi. Wbrew temu, podniósł głos w jednym z pism p. Myśliwy, dowodząc, że ten ukochany, tradycyjnie sławiony „bociek“, jest ni mniej, ni więcej, tylko rozbójnikiem, łupieżcą, gorszym od jastrzębi i kłusowników, że tępi mnóstwo młodych ptasząt, jak kuropatw skowronków, niszczy jaja innych ptaków, a nawet pałaszuje maleńkie zajaczki. Zyskał on sympatyę po wsiach jako tępiciele wężów, żab i jaszczurek. Tymczasem owe węże błotne są to niewinne stworzenia, które nikomu nic złego nie robią, jaszczurki także nie mają nic jadowitego, chociaż przysłowie krzywdzi niesłusznie te małe gady, a pewne odmiany żab, jak np. ropuchy, pomimo swej obrzydliwości, są niesłychanie użyteczne w ogrodach i polach, jako tępicielki szkodliwego robactwa. We Francyi n. p. istnieją osobne targi na ropuchy, które w ogrodach bywają starannie pielęgnowane, pomimo swej odrażającej powierzchowności. Tylko tępienie zwykłych żab wodnych jest pożytecznem dla gospodarstwa rybnego dziełem długodziobego gastronomu, który poszukuje na błotach delikatnej strawy. W innych krajach, gdzie kultura gospodarska stoi wysoko, utrzymywanie gniazd bocianich jest zakazane przez prawo i przepisy policyjne, — w Galicyi tymczasem, w ich obronie ogłaszają sentymentalne odezwy instytucje krajowe. Zdaje się jednak, że towarzystwo galicyjskie powinno być dobrze po-

informowane co do użyteczności lub szkodliwości tak powszechnie znanego ptaka. Gdyby szło o stronę poetyczną i tradycyjną, to z przyjemnością podnosiłbym głos w obronie bocianiego rodu. Pamiętam jeszcze z lat młodości, z jaką radością przez okno niskiego wiejskiego domku oczekiwałem tej chwili, gdy bociany siadały na szczycie olbrzymiego dębu, który swe konary rozpościarał nad ogrodową sadzawką. Ale skoro bociany są niszczyicielami, jak o tem zapewniają kompetentni myśliwi, więc nie mogę ich brać w obronę... chociaż, prawdę mówiąc, nie ma na ziemi gatunku zoologicznego, któryby w tej mierze przewyższył człowieka. Ten ostatni wszelakoż powołuje się na wysokie prawa, które mu pozwalają tuczyć się mięsem innych stworzeń i ma często przekonanie, że ziemia została urządzona *a priori* w taki sposób, aby to było korzystne dla jego kieszeni i żołądka. Ponieważ ani czworonogie, ani dwunogie skrzydlate, ani żadne zgoła stworzenie przeciwko takiemu porządkowi rzeczy nie protestuje, nie zatem dziwnego, że na całym świecie człowiek przyznaje sobie monopol polowania i urządził sprawy swoje łowieckie najkorzystniej dla siebie. Czy nie należałoby u nas, w interesie ludzkich żołądków, zabezpieczyć młode zajączki (byłe nie lęgające się w głowach niektórych domorosłych socjologów), kuropatek, przepiórek i inne tym podobne a smakowite stworzenia przed żarłocznością bocianich dzióbów? Zostawiam tę kwestję do rozstrzygnięcia naszym specjalistom*.

Wypada i *Lowcowi* zabrać głos jako kompetentnemu sędziemu. A po czyjej stronie mamy stanąć — poetów czy zoologów? Nie może tu być ani chwili wahania: milszy nam jest ród kuropatw, przepiórek, kaczek, skowronków i t. d. niż ród buśków, tem bardziej, iż lekarze zapewniają, że i inne ptaszki mogą na siebie wziąć trud przynoszenia mateczkom małych dzieciusiów... Poezya całego świata, a polska więcej może niż inne, oddała już hold bocianowi wyższy nad jego zasługi. Jeśli więc pozostanie pięknym w tradycji, musi przyjąć to jako sute odszkodowanie za zwrot nieprzyjaźny, na który natrafia obecnie u myśliwych i zoologów. Wszędzie, gdzie dbają o racjonalne gospodarstwo myśliwskie, strzegą się od rozmnażania bocianów. Nietylko w Niemczech, lecz we Francji i w Czechach i w Kongresówce, a nawet tu i owdzie u nas, wolą mieć stadka kuropatw w trawie, niż bociana na dębie. Wzywanie do ochrony bocianów nie ma więc najmniejszej podstawy, choć nie idzie zatem, ażeby im wydawać krwawą wojnę i tępić ze wszystkiem. Bronić się tylko należy od zbytlicznego rozmnożenia tego szkodnika, a resztę pozostawić naturze, która w takich objawach jak spóźniona wiosna, majowe mrozy i t. p. ma także dziwnie mądre sposoby regulowania zbytlicznej hiperprodukcji jednego i tego samego gatunku

Na zakończenie tej kampanii musimy dorzucić słów kilka;

Odezwą naszą nie chcieliśmy wpływać na rozmnażanie bociana, lecz ratować szczątki od śmierci głodowej tak, jak wyratowaliśmy już wiele kuropatw i zającey. Ja sam mieszkaniec miasta i nie myśliwy wyratowałem już setki kuropatw odebranych chłopom w zimie na targach we Lwowie i po przezimowaniu wypuściłem wszystkie na pola,

gdzie się już skryć mogły, nie zjadłszy ani jednej (nie śmiecie się pp. myśliwi!..), również i wiele zajęcy nie mówiąc już o ptakach śpiewających.

I przedtem musiał sobie bocian pozwalać czasami małych *exorbitancyj*, ale nikt mu tego za zbrodnię nie poczytywał i nie nastawał na jego występianie.

Praszczur myśliwych Mateusz Cygański tak o nim powiedział:

To ptak domowy, pożytek go taki;
Jadowite, sprosne trawi robaki,
I przetoż rzadko myśliwiec nań jedzie,
Nie rad go jada na swoim obiedzie.

Otóż i Cygański nie był za rozmnażaniem bociana, ale też i nie doradzał, aby go tępić, — a pewnie znał on niektóre sprawy jego. Nie brakło wówczas myśliwym zwierzyny, i dla tego nie zazdrościli i bocianowi. Dopiero, gdy wszyscy zostali myśliwymi, musiano ustawami położyć zapory ogólnemu występianiu. Z całej tej kampanii wieje tylko czysty materyalizm, a tem obrzydliwszy, że dla miłości upieczonych kuropatw, kaczek i skowronków na talerzu wypiera się publicznie całej poezyi. Brzuch i podniebienie to ultima ratio a z tym molochem dziś walka jest trudna.

F. L.

Rady gospodarskie.

Ratowanie zwierząt w czasie pożaru. „Przyrząd do równoczesnego i szybkiego odwiązywania i wypuszczenia koni i bydła ze stajni“. Gospodarz Grasnik i budowniczy Döbeling z Czarnkowa otrzymali patent na wynalazek, noszący powyższą nazwę a mający dla gospodarzy wiejskich wielkie znaczenie na wypadek pożaru. Przyrząd ten polega na tem, że wzdłuż żłobów umieszczony jest wewnątrz wydrążony czyli rurkowaty walec żelazny 2½—3 ctm. średnicy, obracający się około swej osi, którego jeden koniec wychodzi na zewnątrz stajni i tam zaopatrzony jest w korbę zamocowaną. Do tego walca przytwierdzone są drążki z hakami do przywiązywania bydła, które, gdy walec zostanie w obrot wprowadzony odkręcającą się same przez się. Tym sposobem może być w przeciągu 6—8 sekund spuszczone naraz wszystko bydło u jednego walca uwiązane, skoro tenże przez wyjęcie gwoźdźcia, korbę wewnątrz stajni przytwierdzającego, zostanie w obrót wprowadzony. Gdzie bydło stoi głowami do siebie, tam wystarcza jeden walec pomiędzy równoległymi żłobami. Wia-

domo, że bydło opuszcza samo swoje miejsce i wychodzi ze stajni, skoro poczuje, że łańcuch został spuszczoney. (*Tygod. roln.*)

W ogóle przy ratowaniu zwierząt trzymać się należy następujących zasad: Ratunek zwierząt w razie pożaru powinny przedsiębrać osoby, które ciągle dopatrują i karmią zwierzęta. Wtedy należy na konie nałożyć siodła i chomonta, na bydło rogate jarzmo lub łańcuchy, jak gdyby miały iść do roboty i tak je wyprowadzić. Lękliwym zwierzętom trzeba zawiązać oczy. Owiec trzeba kilka wyrzucić na dwór, a za nimi wypędzić resztę, szczując je z tyłu psami. W razie potrzeby należy w drewnianej ścianie wyryć otwór i wypędzić tamtędy owce. Świnie chwyta się za zadnie nogi i za uszy, i tak je z chlewa wyciąga się. Przy ratowaniu zachować się trzeba bez hałasu i krzyku, aby niepotrzebnie zwierząt nie straszyć.

Jak uspokajać bojaźliwe konie? Wiadomo powszechnie, jak przykrą u konia jest lękliwość. Nigdy nie można być pewnym takiego konia, ani pod siodłem, ani w zaprzęgu, a najmniejsza nieostrożność lub zaniedbanie łatwo mogą spowodować nieszczęście. Lękliwość u konia objawia się najczęściej w drodze lub na polu, lecz są konie, które ten narów okazują i w stajni. Niech na przykład w stajni frunie wróbel, niech miotła lub widły na ziemię upadną, koń taki zaczyna chrapać patrzy dzikiem wzrokiem, rwie się i wspina, drżąc na całym ciele. Taka wada wymaga prawdziwej kuracyi, polegającej jednak nie na środkach leczniczych, branych z apteki, ale na władzy duchowej, jaką człowiek posiada nad zwierzęciem. Trzeba jak najczęściej znajdować się przy takim koniu, ciągle do niego łagodnie przemawiać, głaskać go po łbie i szyi, klepać po łopatkach, a potem ukazując mu obrok lub wodę, umyślnie zrobić trochę hałasu, zwiększając go stopniowo. Postępując tak z największą cierpliwością, można doprowadzić do tego że nawet przy odgłosie bębna lub strzelaniu z broni palnej, koń będzie stał spokojnie. Zachować jednak przytem należy jak największą ostrożność, aby pospiechem nie popsuć sprawy i nie być zmuszonym rozpoczynać kuracyi na nowo, często już na próżno. — Jeżeli młody koń lęka się jakiego obcego przedmiotu na drodze, na przykład przydrożnego kamienia, powiewającej płachty i t.p., trzeba go ostrożnie i zwolna do takiego przedmiotu doprowadzać ośmielając go głosem i głaskaniem. Dobrze jest potem wynagrodzić go kawałkiem chleba z solą lub cukru. — Bezpieczniej jednak zawsze starać się złe uprzedzić, a to się osiągnie przez

stosowne wychowywanie źrebiąt, które aż do czasu, nim zostaną wzięte do ujeżdżania, powinny jak najczęściej przebywać na pastwisku, lub na dworze, dla oswojenia ich z wszelkimi obcymi przedmiotami i ruchem, do jakich należą naprzykład: powiewające chusty na płocie, turkot wozów, ryk bydła, szczekanie psów i t.p. Lecz dozorujący powinien być przy tem obecny.

Obchodzenie się ze źrebiętami. Wcale nie będzie w tem przesady, że ze źrebięciem tak trzeba się obchodzić, jak z dzieckiem. Żrebię wybornie się nadaje do rozwinięcia w nim intelligencji, a wychowanie i nauka jego powinny się rozpoczynać nieledwie od chwili urodzenia. Przedewszystkiem należy się starać wzbudzić w nim zupełne zaufanie do człowieka. Kilkatgodniowe źrebię już przy najmniejszym pozorze niebezpieczeństwa i krzywdy, której doznać może, zaczyna wierzgać, a gdy to nastąpi, może na całe życie zachować ten narów. Nie należy nigdy zbliżać się do źrebięcia cichaczem i znienacka, ale zawsze przemawiać do niego łagodnem głosem, aby go nie przestraszyć. Trzeba je jak można najczęściej głaskać ręką, najprzód ostrożnie po szyi, a potem po całym ciele, następnie czyścić szczotką, podnosić nogi, rozcierać je rękami, klepać po podszwie kopyta młotkiem lub kamykiem, otwierać mu pysk, aby je do tych czynności nazwyczaj: Cukier jest najdzielniejszym środkiem do obłaskawienia źrebięcia, mając zawsze kilka kawałków cukru w kieszeni, można źrebię przyuczyć, że będzie na głos do rąk przychodziło i jak pies chodzić za człowiekiem, nawet do mieszkania. Nigdy jednak nie należy drażnić źrebięcia i żałować mu tego przysmaku.

Wzdymanie się bydła. Przeciw wzdymaniu się bydła używają w Austrii i Szwajcaryi z pomyślnym skutkiem następującego środka. Robi się w obydwóch końcach jajka kurzego otwory przez które wypuszcza się białko. W wypróżnioną w ten sposób skorupę wlewa się następnie terpentynę i zamyka obydwie otwory chlebem. Tak przygotowane jajko wtyka się wzdętemu bydlęciu możliwie głęboko w gardziel. W krótkim czasie po spożyciu jajka objawia się u bydlęcia częste odbijanie, a po 10-15 minutach bydle jest zupełnie wesołe i z ochotą spożywa podany mu pokarm. Po podaniu mu jajka, należy przepędzać wzdęte bydle, lub lekko naciskać bok lewy w okolicy biodra. (Gwiazdka Ciesz.)

Rzeczikwo kolce u koni z dobrym skutkiem używany bywa wyskok z cebuli z mlekiem. Wyrabiany bywa w ten sposób, że 10—12 cebul gotuje się w litrze mleka przez kilka godzin,

poczem się cebule wyciska i płyn wlewa w butelkę, w której mocno zakorkowany utrzymuje się dobrze. Choremu koniowi daje się $\frac{1}{4}$ — $\frac{1}{2}$ litra wypić, wyciera go przytem wiechem i przykrywa wełnianą derą. Pomaga to lekarstwo za pierwszym użyciem.

Odwar z listków bagna (ledum palustris) niszczy wszelkie pasożytne owady a także móle. Listki tej rośliny, rosnącej jak wiadomo po bagnistych lasach, znane ze swego przenikliwego, odurzającego, chociaż nie przykrego zapachu, zalane w świeżym albo ususzonym stanie spirytusem, dają tynkturę bardzo skuteczną na ukąszenie owadów jak komary, osy, pszczoły, szerszenie, bąki i t. p. Wytarłszy tą tynkturą twarz i ręce można się uchronić od okłucia przez komary i inne owady leśne, tak dokuczliwe dla gajowych, leśniczych i myśliwych. Powiadają na wet, że ta tynktura dobrze służy do zagojenia ran powstałych od ugryzienia przez konie, psy, koty i inne zwierzęta domowe i dzikie.

(Tygodn. roln.)

Wszy bydlęce niszczy się według (Branschweig. landw. Ztg.) przez nacieranie szyi i grzbietu zwierzęcia octem owocowym albo olejem lnianym.

Brak chęci do jadła u trzody usuwa się najłatwiej za pomocą sody, dając 36 grm. do 2 kłgr. owsa i roztworząc to w 4 litr. wody. Namoczony w ten sposób owies daje się rano i wieczorem po 0.76 litra wraz z inną karmą.

KORESPONDENCYA.

Husiatyn. (Za gniazda bocianie.) Zaczny przyjaciel i obrońca zwierząt ks. probosz Szankowski, doniósł tutejszemu c. k. Starostwu, że w Niżborgu nowym, gdzie on jest proboszczem gr. kat. parafii, — parobcy wiejscy odznaczają się dzikimi instynktami i popełniają okrucieństwa zwłaszcza na ptakach przelotnych.

Opisał również jeden wypadek, który się tamże wydarzył dnia 6 lipca b. r. a mianowicie, że ośmiu parobków plądrowało w nocy po obcych chatach i stodółach i niszczyło gniazda bocianie, przyczem jednemu bocianowi skrzydło kołem złamali.

Starostwo nakazało Zwierzchności gminnej natychmiast wysledzić winnych i użyć przeciw nim najostrzejszych środków karnych, jakie gminie za przekroczenia przepisów o dręczeniu zwierząt przysługują.

Zwierzchność gminna a raczej sam Naczelnik gminy Niżborg nowy — przy pomocy c. k. żandarmeryi wysledzili przestępców w osobach: Semku Bojku, Stefanie Olejniku, Iwanie Jajle, Mikołaju Olejniku, Olesie Bezkorowajnym, Iwanie Demczyszynie, Jakowie Olejniku i Hryńku Trysuraku — którzy wszyscy grzywną po 60 ct. wa. na fun-

dusz ubogich gminy ukarani zostali i złożyć musieli łącznie 4 zł. 80 ct. w. a.

Byłoby pożądana rzeczą, gdyby właściciele dóbr, duszpasterze, nauczyciele i inni inteligentni ludzie po wsiach mieszkający, o każdym poszczególnym wypadku dręczenia zwierząt donosili Starostwu a wtedy w krótkim czasie psotnicy karani grzywnami i aresztem zaprzestaliby swych niecnych robót.

Husiatyn, dnia 2 sierpnia 1888.

Z. R.

ODDZIAŁ TOWARZYSTWA

w Nowym Sączu

zatwierdzony reskryptem Wys. c. k. Namiestnictwa z dnia 15. września 1885 l. 56249 ukonstytuował się dopiero dnia 1 lipca br.

Na zwłokę ukonstytuowania się wpłynęła ta okoliczność, że iniektorowie i wybitniejsi członkowie zmienili miejsce pobytu.

Do Wydziału wybrani:

Wny Dr. Karol Slavik burmistrz miasta;

Wny Dr. ks. Alojzy Góralik kanonia;

Wna Wilhelmina Rożycka nauczycielka;

Wny Marcin Bałabański c. k. star. komisarz skarbowy;

Wny Karol Gutkowski prof. gimn

CZŁONKOWIE ODDZIAŁU:

Wni: Władysław Herold radca sądowy; Ignacy Haas sekr. Mag.; — Franciszek Kozakiewicz adj. urzędu podat.; — Dr. Bazyli Krwawiec weterynarz; — Jan Kosman dyr. szkoły wyd.; — Maksymilian Jasiński naczelnik poczty; Franciszek Schilling, em. c. k. komisarz pow.; — ks. Jan Depowski i Wincenty Dąbrowski.

M. Bałabański
sekretarz.

K a g a ń c e.

Zanosi się na to, że kagańce tego roku zniesione nie będą. Podanie nasze o zniesienie kagańców już po raz wtóry miało być na sessyi Magistratu załatwione, lecz zawsze przeszkodziły temu odezwy c. k. szkoły weterynaryi, kończące się zawsze tym nieszczęsnem dla psów i ich właścicieli frazesem: *że nie wykluczoną jest także wścicklizna*“ lub „*wnosić należy, że i t. d.*“ Na takich tedy fachowych podwalinach istnieć sobie może wścicklizna rok cały i drugi i trzeci i bez końca, jak długo fizykat miejski frazesy takie brać będzie na seryo i nie wejdzie w rzecz gruntowniej.

Nie dziwimy się Dr. Szpilmanowi, jako obecnemu w czasie feryi letniej jednemu reprezentantowi szkoły weterynaryi, że w wypadkach wątpliwych posługuje się takimi przypuszczeniami

nie chcąc brać całej surowości ustawy na siebie, ale dziwimy się fizykatowi miejskiemu, dla czego nie zarządzi w takich wątpliwych wypadkach komisijnego zbadania jednego lub drugiego faktu dla skonstatowania rzeczywistej wścieklizny.

Ustawa z r. 1880 §. 35 wyraźnie powiada: „*W okolicach, które przebiegały psy wściekle lub o wściekliznę podejrzane, albo, w których panuje wścieklizna, można zarządzić, aby psy zostały, upięte na łańcuch albo zaopatrzone byływkagańce...*“

We Lwowie nie wydarzył się taki wypadek już od dłuższego czasu, a że ktoś, troskliwy o zdrowie własne i cudze dostrzegłszy, że pies jego nie ma apetytu lub okazuje znamiona jakiejś choroby, bierze psa sam na ręce lub wiedzie go na sznurku do szkoły weterynaryi, prosząc, aby go wyleczono lub słabość jego zbadano, a szkoła weterynaryi doniesie na drugi dzień Magistratowi, że u psa oddanego wczoraj przez p. N. N. „*nie wykluczoną jest wścieklizna,*“ to takie wypadki nie uzasadniają potrzeby utrzymywania przymusu kagańcowego w permanencyi, gdyż takie wypadki wydarzać się mogą i będą zawsze, a jako nikomu nieszkodliwe i nie zagrażające, nie przewidziane są nawet ustawą.

Publiczność objawia całkiem niedwuznacznie swoje zapatrywanie na całą tę procedurę, którą omówimy szerzej w numerze następnym.

Obecnie prosimy p. prezydenta, aby raczył wglądać w tę sprawę, a mianowicie, ażali wskazanem jest oddawanie psów podejrzanym i zdrowym do kliniki przy c. k. szkole weterynaryi, która w czechującym i zgniłym lokalu rozporządza tylko siedmioma klatkami, a w jednym tygodniu zrobiła około siedm doniesień o psach wściekłych. — A gdzież trzymane są psy inne do kuracyi oddane.

Ta okoliczność powinna już była zwrócić uwagę biura sanitarnego i p. fizyka miejskiego i spowodować pewne zmiany w swych zarządzaniach.

Czy może spada na nas „*profaniw*“ obowiązek, zabrania się do tej sprawy poważniej.

Rozmaitości.

Nocna scena w Wiedniu. W dobrodusznym tem mieście padł koń dorożkarski o północy na stanowisku koło linii „Neulerchenfeld“, i nie mógł powstać z osłabienia. Zebrało się zaraz kilku kolegów dorożkarza i poczęli batami ćwiczyć konia, co trwało kilka godzin bez

żadnej z którejkolwiek strony przeszkody, — ale też i nie miało żadnego skutku. Około godziny piątej nadszedł parobek mleczarski i zaproponował, włożyć koniowi do ucha zatloną hupkę, aby jeszcze choć raz wierzgnął i aby była *heca*. Nie udała się jednak *heca*, gdyż koń osłabiony i już poprzód okrutnie zbity nawet i na taką procedurę nie miał już czucia. — Wreszcie zjawił się policjant i zarządził odwiezienie konia na wozie. Gdy wóz z miejsca ruszył, podniósł koń jeszcze raz głowę i gasnącem okiem spojrzał po swoich katach. Kilka osób przypatrywało się tej nocnej scenie z okiem, lecz nie poczuł się do obowiązku ludzkości ując się za nieszczęśliwym zwierzęciem, i dopiero drugiego dnia donieśli o tem Towarzystwu ochrony zwierząt. (Fremdenblatt.)

Pomocnik wiwisektora Michał Jaworznicki w Peszcie posprzezczał się z żoną swoją i postanowił porzucić ją piłką w kawalki. Gdy spała, związał jej nogi i począł ją piłeczką używaną w laboratorium, piłować po głowie i po nogach. Na przeraźliwy krzyk wpadli sąsiedzi do mieszkania tego potwora i uwolnili nieszczęśliwą ofiarę. Strasznie pokaleczoną odwieziono do szpitala, a wiwisektora oddano policyi.

Wiwisektor i szakale. Śmierć odpowiednią zawodowi wybrał sobie młody uczeń medycyny w Wiedniu Józefa Effenberger. Nie mając widoków stanąć z narzeczoną swoją na kobiercu ślubnym, postanowił razem z nią umrzeć. W tym celu zamknął się z nią w pokoju hotelu „St. Oedenburg“ i dał jej kilka pchcień nożem w szyję a potem poderżnął sobie gardło. Sam zginął natychmiast, narzeczoną zdołano uratować. Po tym strasznym czynie weszli pierwsi do owego pokoju służąca hotelowa i portjer, lecz zamiast nieść doraźną pomoc ciężko poranionej pannie, poczęli rabować i obdzierać z nich co mieli na sobie kosztowniejszego.

Podczas gdy portjer wyjmował pularys i ściągał zegarek z medycyniera, służąca zdjęła branzoletkę i odpięła broszkę. Oboje skazano na kilkuletnie więzienie.

Niezwyczajna wytrzymałość konia. W dniu 7 lutego klacz włoszianina Muszyńskiego ze wsi Kaszyna w Królestwie Polskiem, przestraszona przez psa na dziedzińcu, poniosła sanie, do których była zaprzężona w pole. Pomimo usilnych poszukiwań, właściciel klaczy odnaleźć nie mógł, i dopiero gospodarz ze wsi Domaniowa. Roszkowski, pojechawszy do lasu 26 lutego, to jest w 19 dni po zaginieniu klaczy owęj, ujrzał ją w gęstwinie leśnej stojącą w zaprzęży, zaczepioną lejcamy o krzaki i pień drzewa. Biedna szkapa ogryzła z głodu korę pnia i koniec samych hołobli. Znalaziono ją w stanie wielkiego osłabienia, wychudła jak szkielet bardzo mało je, lecz spodziewać się można, że z czasem przyjdzie do siebie.

Pożar menażeryi. Z Bukaresztu donoszą dnia 19. bm. Na placu Mosz rozbił u nas namiot właściciel menażeryi Braun. Przedwczoraj, kiedy tłumy ciekawych otaczały budynek, przypatrując się grymasom wystawionych u wchodu małp, rozległ się nagle o 6. godzinie po południu okrzyk: „Gore“ i istotnie po nad płócienny dach menażeryi buchnął wysoki słup ognia i dymu. Nastąpiła scena nie do opisanja. Zamknięte w żelaznych klatkach zwierzęta targały się na wsze strony

i okropnem wyciem napelniały powietrze. ludzie przerażeni w niesłychanej panice umykali z placu, obawiając się, aby która z bestyj nie wyrwała się i nie wpadła w tłumy; właściciel i służba biegali dokola z załamanemi rękoma i błagali o ratunek... Napróżno, bo nikt nie chciał zbliżyć się do budynku. Ogień obejmował jedną klatkę za drugą i niszczył wściekle boleścią i przestachem zwierzęta. W przeciągu godziny uciechło wszystko: cała menażeryja reprezentująca wartość 100 tysięcy zhr., przedstawiała kupę zgłiszcza i popiołu. Spaliło się 7 lwów, tygrys, biały niedźwiedź, jaguar, wiele innych zwierząt i ptaków, oraz obfity gabinet figur woskowych. Ani jedno zwierzę, ani jeden sprzęt nie został uratowanym. Ogień powstał skutkiem pęknięcia lampy naftowej. Menażeryja nie była ubezpieczoną.

Zakaz szybkiej jazdy. Z powodu licznych wypadków przejechań zaostrzyła policya wiedeńska zakaz szybkiej jazdy i odtąd każdy przekraczający ten zakaz fiakier lub doróżkarz karany będzie nie grzywną lecz aresztem, a nadto po dwukrotnem ukaraniu utraci koncesyę. Gdy już w pierwszych dniach wpakowano kilku najpoważniejszych fiaków do kozy, olebano sześciu koncesyę a kilku zagrożono, wywołało to pomiędzy fiakrami wiedeńskimi wielką konsternacyę. Z grzywnien nie oni sobie nie robili i zakaz jakby umyślnie przekraczali, gdyż często goście z arystokracji rodowej lub pieniężnej urządzali sobie taki sport szybkiej jazdy a potem grzywnę w zastępstwie fiaków sami płacili. Temu zapobieżono w sposób powyższy.

HUMORYSTYKA.

Ostrożność.

Żona (do męża wybierającego się na polowanie:)

Proszę ciebie bądź tylko ostrożnym!

Mąż. Nie obawiaj się ani o mnie ani o siebie.

Żona. Ja się też nie obawiam ani o ciebie ani o mię, ale o naganiaczy, którzy mają także żony i dzieci.

Niepodobieństwo.

W pewnem towarzystwie produkował się jakiś jegomość tak ludzko naśladowaniem głosu zwierząt, że przy naśladowaniu głosu osła, zawoł ktoś z obecnych:

— To niepodobna aby to było naśladowaniem!?

Jubileuszomania.

Żona: Słuchajno mężu, oto czytam w gazecie, że Frankfurcie słon obchodził jubileusz

Mąż: Cóż w tem dziwnego; widziałem tyle osłów i wołów, którzy obchodzili jubileusze, że mię ta wiadomość wcale nie dziwi.

Tryumf chirurgii.

Chirurgia stoi teraz na najwyższym stopniu, mówią angielscy i niemieccy lekarzy, i trzymają się wzajemnie za włosy.

Śmierć z powołania.

A. Patrz, oto koń generała H., który go nosił od zwycięstw do zwycięstw, prowadzony jest do rzeźni; przecież za wierne swe usługi zasłużył sobie na inną nagrodę!

B. Wcale nie, koń ten jest wierny swemu powołaniu. Przez całe życie nosił on pana swego na rzezie, nie dziwnego, że teraz powiedli i jego samego na rzeź.

Także ochrona zwierząt,

— Panie prezesie, wczoraj rozdałeś pan 60 premij za ochronę zwierząt, proszę więc i dla mnie o jedną.

— Jakież pan możesz wykazać zasługi dla naszego Towarzystwa?

— Ja, panie prezesie, nigdy nie jeżdżę dorożką ani tramwajem na wycieczkę do Zimnawoda-Rudno.

— Pan radca powraca z Włoszech, zapewne musiał być i w Wenecyi?

— Rozumie się, że byłem.

A to pan radca widział lwa św. Marka?

— Co za pytanie? Nie tylko widziałem, ale własną ręką podałem mu kawał mięsa.

W biurze sanitarnym.

Urzędnik. Znowu nadeszła odezwa o świeżym wypadku tajnej wścieklizny. Komu ją przydzielić?

Szef biura: Rzuć ją pan do kołowaczyny.

Tego już za wiele.

Gościowie podaje w hotelu książkę do podpisu. Po kartce łązi pluskwa Gość do portjera: Miałem już wiele do czynienia z owadami po hotelach, lecz to mi się jeszcze nie przytrafiło, aby pluskwa przeglądała księgę cudzych, gdzie którego podróżnego ulokują. — Tego już za wiele. — Rzuca pióro i ucieka

Zapytanie.

Donoszą nam, jakoby, z czterech przez oprawcę tutejszego na żądanie szkoły weterynaryi jeszcze w Wrześniu z. r. tamże dostawionych psów, trzy psy do dziś dnia pozostawały tamże w klatkach zamknięte. Jako profani, nieświadomi wyższych celów naukowych i terminu potrzebnego do osiągnięcia rezultatu badań, uważamy trzymanie psów pod takimi warunkami przez dziesięć miesięcy jako dręczenie i ośmielamy się zapytać Szanowną Dyrekcyę, ażali doniesienie to oparte jest na prawdzie, tudzież, czy nauka nie pozwala skrócić terminu badań na tych nieszczęśliwcach?

Sprostowanie. Nr. 5, str. 75, wiersz 9 od dołu: zamiast *królików* czytaj *kruków*.